

Słowa w słuchawce aż go zmroziły. "Przygniotła go skała, nie żyje"



Maciej Słomiński

Góry | Czwartek, 2 lutego 2023 (05:55)



Lubię to



61



Udostępnij

Doktor Robert Szymczak brał udział w wielu polskich wyprawach w Himalaje i Karakorum jako lekarz, sam zdobył trzy ośmiotysięczniki. Dziś pomaga wspinaczom zdalnie i mówi o dylematach jakie towarzyszą ludziom na "dachu świata".



Robert Szymczak uczestniczył jako lekarz w wielu wyprawach w Himalaje / Getty Images / archiwum prywatne / Getty Images

Maciej Słomiński, INTERIA: Pięć lat temu cała Polska żyła wejściem Tomasza Mackiewicza i Elisabeth Revol na Nanga Parbat. Byłeś wtedy odpowiedzialny za zabezpieczenie medyczne dla ekipy wchodzącej na K2 - dwóch himalaistów z tego zespołu: Adam Bielecki i Denis Urubko, uratowało Revol. Mackiewicz niestety zginął. Popularny "Czapkins" słynął z dość niestandardowych metod wysokogórskich.

Robert Szymczak, dr hab. n. med. i n. o zdr., specjalista medycyny ratunkowej, zdobywca trzech ośmiotysięczników: - Był outsiderem, na pewno działał niestandardowo. Pierwszy raz usłyszałem o nim podczas wyprawy zimowej na **Broad Peak** z **Arturem Hajzerem**. Asghar, szef naszej agencji górskiej przekazał nam informację, że na Nanga Parbat wybierają się jacyś Polacy i do bazy jadą...na motorach. Zazwyczaj na wyprawę zabiera się masę sprzętu i jedzenia, więc do ostatniej wioski jedzie konwój jeepów, do bazy idą dziesiątki tragarzy, a Mackiewicz z ekipą z Islamabadu, z powodów finansowych jechali na motorach. Mackiewicz miał romantyczne podejście, było w tym coś z punk rocka, patrzyliśmy na niego trochę jak na amatora. Nie wiem, czy "Czapkins" tego chciał, ale Hajzer widział w nim potencjał, żeby wziął udział w wyprawach narodowych. Jednym z warunków było zrobienie szkolenia w Tatrach, tzw. "betlejemki letniej i zimowej" - to górskie prawo jazdy, żeby wspinacze posługiwali się tym samym kodem. Z tego co wiem, on nie miał tego przeszkolenia. Mackiewicz nie był początkowo zbyt poważany, ale z czasem zyskał szacunek. Bez żadnego wsparcia wchodził na wysokości "zarezerwowane" dla wypraw narodowych.

Padło nazwisko Artura Hajzera.

- Niestety tragicznie zginął na Gaszerbrumie I w 2013 r. Historia mrożąca krew w żyłach. Tuż przed tym jak spadł, Hajzer wysłał sms do Polski, że **Marcin Kaczkan**, jego partner z tej wyprawy, spadł i nie żyje. Razem z Jurkiem Natkańskim zaczęliśmy organizować pomoc zdalnie z Polski, żeby któryś z działających w pobliżu himalaistów do nich dotarł. Po paru dniach okazało się, że Kaczkan żyje, ale Hajzer niestety nie. Artur tuż przed upadkiem musiał mieć zaburzenia funkcji poznawczych, prawdopodobnie w wyniku wysokościowego obrzęku mózgu. Stąd ta niezrozumiała wiadomość wysłana do Polski. Bardzo bolesna strata.

To był bliski tobie człowiek?

- Był moim przyjacielem. Poznałem go na zimowej wyprawie na **Nanga Parbat**, gdy wracał do wspinania po wielu latach przerwy. Pierwotnie **Jerzy Kukuczka** wspinał się z **Wojtkiem Kurtyką**, a ostatecznie ośmiotysięczniki, również zimą, zdobywał z młodym wtedy Hajzerem. Skończyła się komuna, Hajzer stwierdził że trzeba zarobić pieniądze, a że miał smykałkę do biznesu i od zawsze szyl plecaki i uprząże kolegom, zaczął to robić w celach handlowych i stworzył firmę Alpinus, potem HiMountain. Po czterdziestce, gdy zorientował się, że nie wszystkie ośmiotysięczniki są jeszcze zdobyte zimą, wrócił w góry. Poznaliśmy się, polubiliśmy, wspinaliśmy razem. Hajzer stworzył program "Polski Himalaizm Zimowy".

On jest jedynym twoim znajomym, który zginął w górach?

- Nie. Było ich niestety o wielu więcej. **Sławek Wróblewski** zginął na Matterhornie, Szwajcar **Ueli Steck** na Evereście, tak samo Rosjanin **Aleksiej Bołotow**. Czech **Zdenek Hruby** w Karakorum. **Piotr Morawski** i Włoch **Simone La Terra** na Dhaulagiri. Pakistańczyk **Muhammad Ali Sadpara** na K2 zimą. Mackiewicz pozostał do końca wierny idei pierwszego zimowego zdobycia Nanga Parbat. Był drugi. Ubiegli go w tym Włoch **Simone Moro**, Bask **Alex Txikon** i Pakistańczyk **Muhammad Ali Sadpara**.

Myślisz, że to jakieś pocieszenie dla jego dzieci i partnerki, że pozostał do końca romantykiem?

- Może jakieś tak, ale trudno nim zappełnić pustkę po utracie kochanej osoby.



Himalaizm to działalność egoistyczna, wchodzisz na górę dla siebie, nie dla kogoś. Dodatkowo bardzo niebezpieczna, szczególnie jeśli w grę wchodzi wspinaczka na wysokości ekstremalne, w sezonie zimowym lub trudnymi drogami.

Nie mamy wpływu na wszystko. Nagłe załamanie pogody, lawina, oberwany serak lub spadający kamień mogą zabić nawet najwybitniejszego himalaistę. Gdy na jednej szali jest żona, dzieci i ich potrzeby, a na drugiej kupa kamieni i zaspokajanie własnych ambicji, to wybór wydaje się prosty. Trudno jest jednak generalizować. Nie można wykluczyć sytuacji, w której himalaista pozbawiony gór staje się innym człowiekiem, człowiekiem nieszczęśliwym, pozbawionym tego co go napędza, a druga strona rozumiejąc to (czasem wbrew sobie) akceptuje ryzykowną pasję partnera. Partnerzy mogą się umówić na jakiś układ, z dziećmi jest już trochę inaczej. Pamiętam, że po historii z Mackiewiczem pojawiły się opinie, że oto zginął bohater. Pamiętam mocny komentarz w Internecie, ktoś się podpisał jako "dziecko himalaisty": "Jaki bohater? Bohaterką to była moja matka jak pracowała na dwóch etatach, jak ojciec jeździł, żeby zaspakajać swe ambicje. A jak się zabił, ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Mierziło mnie jak ludzie pokazywali palcami: o to jest syn tego słynnego!". Nie jestem bez grzechu w tej materii. Kilkanaście dni po tym jak dowiedziałem się, że będę ojcem pojechałem na moją ostatnią wyprawę - dwumiesięczną ekspedycję na **Mount Everest**. To był błąd. Z perspektywy lat, historii, których byłem świadkiem, tragedii, które obserwowałem, jestem zdania, że gdy ma się dzieci, to z miłości do nich, niebezpieczne pasje należy odłożyć na bok. A jeśli już ktoś musi jechać w góry wysokie to powinien maksymalnie minimalizować ryzyko: sprawdzić organizm przed wyjazdem, zaplanować aklimatyzację, wziąć ze sobą leki na choroby wysokościowe, nauczyć się rozpoznawać niepokojące objawy, zorganizować tlen ratunkowy, wykupić ubezpieczenie na wypadek akcji ratunkowej oraz co bardzo ważne polisę, która zabezpieczy rodzinę, jeśli zginie w górach, lub wróci jako kaleka. Niestety wielu himalaistów potwierdziło słusność przysłowia "Mądry Polak po szkodzie".



Robert Szymczak na szczycie Mount Everest w 2012 r. / archiwum prywatne /

No dobrze, to po jaką cholerę ludzie chodzą w te najwyższe góry zimą?

- Dla mnie najbardziej pociągająca była przygoda - wyjazd do kraju egzotycznego, rzadko odwiedzanego. **George Mallory**, na pytanie po co się wspinać na Everest, odpowiedział "Bo jest!". **Artur Hajzer** mówił, że "gdy nie wiadomo o co chodzi to z reguły chodzi o pieniądze, kobietę, sławę lub o pasję". Zgadzam się z jednym i drugim.

Ernest Hemingway mówił: "Są tylko trzy prawdziwe dyscypliny sportowe, wyścigi samochodowe, walki byków i alpinizm, reszta to tylko gry".

- Na pewno w himalaizmie jest aspekt sportowy, na podwórku chłopaki rywalizują, kto wejdzie na najwyższe drzewo. O to chodzi w sporcie, żeby coś zrobić lepiej, szybciej, mocniej od rywali. U mnie to szło stopniowo - gdy zaczynałem w Klubie Wysokogórskim Trójmiasto, usłyszałem że ktoś wszedł na pięćotysięcznik, chciałem też tego dokonać. Jak wszedłem na przełęcz w Nepalu i pobiłem swój rekord wysokości, była chwilowa satysfakcja, ale wiedziałem, że jest coś wyżej i dalej. Moja motywacja nie była skomplikowana, chciałem przeżyć przygodę, zostać zdobywcą, zaimponować światu, płci przeciwnej, pokazać, że jestem kozakiem. Był też na pewno aspekt eksploracyjny, chęć zrobienia czegoś jako pierwszy. To bardzo kuszące wejść na szczyt, na którym stopa ludzka jeszcze nie stała, zdobyć niezdobyty ośmiotysięcznik w sezonie zimowym, przejść do historii. Kto z nas o tym nie marzył w dzieciństwie?

Ja chciałem być Diego Maradoną.

- A propos Ameryki Płd. niedawno przeczytałem fascynującą książkę **Zdzisława Ryna "Góry, medycyna, antropologia"**, profesora psychiatrii, który przez wiele lat był ambasadorem RP w Chile, Boliwii i Argentynie. Zajmował się między innymi medycyną górską, medycyną indiańską i antropologią. W książce zwraca uwagę, że szczyty górskie w wielu kulturach są miejscem świętym, siedzibą bóstw lub demonów, symbolicznym miejscem styku Ziemi i Nieba, miejscem równowagi kosmicznej, miejscem w którym rozpoczynało się przejście do innego świata. Z tego powodu Inkowie składali Bogu Słońce na szczytach ofiary, również z ludzi. Jest coś tajemniczego w szczytach gór, co fascynuje człowieka od zarania dziejów. Może, ta nieuświadomiona chęć poznania nieodgadnionego jest tym co ciągnie ludzi w najwyższe szczyty Himalajów i Karakorum? Nie można tego wykluczyć.

Czy istnieje coś takiego jak polska szkoła himalaizmu?

- Tak. Już w 20-leciu międzywojennym Polacy chcieli zorganizować wyprawę na niezdobyte wtedy **Mount Everest i K2**. Głównym pomysłodawcą był **Adam Karpiński**. **Ostatecznie z ekipą dopiął swego w 1939 r., Polacy zdobyli wtedy jako pierwsi siedmiotysięcznik Nanda Devi East, sam Karpiński zginął niestety w lawinie na pobliskim Tirsuli.**

Imponujące. Nie wiedziałem o tym, chociaż bardziej chodziło mi o czasy bardziej współczesne.

- Polacy stworzyli i rozpropagowali ideę himalaizmu zimowego. Na samym początku eksploracji ośmiotysięczników chodziło o to, żeby wejść. Jak to zostało zrobione, himalaiści stawiali sobie kolejne poprzeczki, wejście bez tlenu, trudniejszą drogą. Z powodu zamknięcia naszego kraju za komuny, nie mieliśmy szans stawać w szranki z himalaistami z krajów zachodnich i wszystkie ośmiotysięczniki w normalnym sezonie zdobyto bez nas. Wyjątkiem był udział **Adama Skoczyłasa i Jerzego Hajdukiewicza** (lekarz wyprawy) w wyprawie szwajcarskiej w 1960 r. podczas której zdobyto po raz pierwszy ośmiotysięcznik **Dhaulagiri**. Wymyśliliśmy wspinaczkę w ekstremalnych warunkach zimowych. To było coś nowego. **Andrzej Zawada** był prekursorem himalaizmu zimowego, liderem wielu wypraw narodowych. Jako Polacy mamy duże sukcesy w eksploracji Himalajów i Karakorum trudnymi drogami oraz zimą. Spośród 14 ośmiotysięczników, 10 w sezonie zimowym jako pierwsi zdobyli Polacy. Oprócz powodów geopolitycznych, sukcesowi Polaków zimą sprzyjało trudne, wymagające wspinanie zimowe w Tatrach. Polscy alpiniści, którzy wyjeżdżali w Himalaje, najpierw musieli być wybitnymi taternikami. Tarty zimą były świetnym poligonem przed trudnościami himalajskiej zimy.

Wspomniałeś o wyprawach narodowych. O co w nich chodziło?

- Były finansowane w dużej części przez państwo i miały za zadanie realizować ambitne cele wspinaczkowe. Niedawno został zimą pokonany ostatni ośmiotysięcznik - K2, i wygląda na to, że czas wypraw narodowych przeminął. Nie ma spektakularnych, medialnych celów rangi zimowego K2. W latach 70. i 80. XX wieku wyścig trwał, symbolem tego była rywalizacja o zdobycie wszystkich 14 ośmiotysięczników przez jednego himalaistę - rywalami byli nasz **Jerzy Kukuczka** i **Reinhold Messner**, który miał pieniądze od sponsorów. Kukuczka wchodził zimą i trudniejszymi trasami co zyskało uznanie Messnera. Po tym jak Kukuczka jako drugi człowiek na ziemi zdobył 14 ośmiotysięczników, Messner powiedział "Nie jesteś drugi. Jesteś wielki". **Wanda Rutkiewicz** była pierwszą kobietą na K2 i trzecią na Mount Everest. Wyprawy narodowe w latach 70. i 80. były też sposobem zarobku. Co bardziej obrotowi himalaiści przy pomocy drobnego przemytu potrafili zarobić na takich wyjazdach. Po zdobyciu góry, zostawali w Katmandu, Islamabadzie czy Delhi, coś kupić, potem sprzedać itd. Zostało to opisane w kilku pozycjach książkowych.

Ty chodziłeś w Himalaje jako wspinacz czy jako lekarz?

- W obu tych rolach jednocześnie. Na początku jeździłem na wyprawy z kolegami z Klubu. Potem znalazłem w Internecie adres **Krzysztofa Wielickiego** i napisałem do niego maila, że jestem lekarzem, że mam mało pieniędzy, ale dużo chęci i czasu, jakby potrzebował lekarza na wyprawę to jestem. O dziwo, za jakiś czas Wielicki odpisał. Wtedy miała miejsce kampania "Żywca" pod nazwą Zdobywcy - w Polsce odbywały się eliminacje i dwie drużyny wyjeżdżały do Nepalu zdobywać sześciotysięcznik. Pojechałem z nimi. Za rok Wielicki zaproponował mi udział w zimowej wyprawie na **Nanga Parbat**. Jadąc tam nie do końca wiedziałem czy jako lekarz będę się mógł wspiąć. Na wszelki wypadek wziąłem sprzęt wysokogórski i faktycznie, obok obowiązków medycznych, miałem możliwość brać udział we wspinaczce, zakładaniu obozów itd. Dotarłem wtedy z Przemkiem Łozińskim do 6700 metrów. Na tej wyprawie poznałem **Artura Hajzera**, z którym potem jeździłem w Himalaje i Karakorum. To był dobry układ dla wyprawy, że lekarz jednocześnie się wspina, jedna osoba pełni dwie funkcje. Dziś już nie ma właściwie takich sytuacji jak podczas wypraw narodowych zeszłego stulecia, żeby na wyprawę jechał niewspinający się lekarz. Dziś rzadko w ogóle na wyprawie jest lekarz.

Teraz pomagasz wspinaczom zdalnie.

- No właśnie, zostałem zdalnym lekarzem wyprawowym (śmiech). Kiedyś lekarz czekający w bazie wyprawy wyposażony było w radio, które działało bądź nie. W sytuacji wypadku lub choroby, do czasu sprowadzenia himalaisty do bazy leczył go zdalnie, drogą radiową. Dziś są większe możliwości komunikacji. Technologia pozwala na zdalną pomoc medyczną nawet z domu. Będąc gdzieś na drugim końcu świata wspinacz może zadzwonić z telefonu satelitarnego i poradzić się w sprawach medycznych. Brałem udział w kilku akcjach ratunkowych, np. wspomnianych Mackiewicza i Revol.

Konsultowałem człowieka, który wspinał się na czterotysięcznik w USA, zadzwonił mówiąc, że spadł na niego kamień. Poprosiłem, żeby dał telefon koledze, z którym się wspina. A on na to: przygniotła go skała, nie żyje. Dzięki połączeniu satelitarnemu mogłem wstępnie ocenić jego stan, wykluczyć zagrażające życiu urazy, uspokoić sytuację i pomóc mu przetrwać do czasu dotarcia służb ratunkowych. Konsultacja satelitarna to jednak szczyt góry lodowej. Podstawą zabezpieczenia medycznego, którym się zajmuje w ramach medeverest.com są działania przed wyprawą: sprawdzenie organizmu, plan aklimatyzacji, przygotowanie apteki, zabezpieczenie tlenowe i szkolenie by alpinista czy himalaista był w stanie sam sobie pomóc i przetrwać do czasu dotarcia śmigłowca - czyli minimum dobę.

Mówimy o wspinaniu się jako o pewnym rodzaju sportu ekstremalnego. Na ile potrzebny jest talent, a co można wytrenować? Czy do wspinania w górach trzeba mieć szczególne predyspozycje?

- To co można wytrenować to poziom wydolności oraz umiejętności wspinaczkowe. Poziom wydolności mierzy się badaniem VO2max, które określa, ile kilogram masy ciała jest w stanie przyswoić tlenu w danym czasie. Im większa wydolność organizmu, tym szybsze tempo wspinaczki. Przykładem osoby o niesamowitej wydolności jest **Andrzej Bargiel**, który dosłownie wbiega na górę, ma bardzo wysoki poziom VO2max. Oprócz wydolności trzeba również potrafić się wspinać. Przeciętny wioślarz, który ma bardzo wysokie VO2max, bez umiejętności wspinaczkowych nic w górach nie zdziała. **Adam Bielecki** jest świetnym wspinaczem. **Artur Hajzer** podziwiał jego czucie góry, czucie skały. Bielecki dzięki kunsztowi wspinaczkowemu został pierwszym zimowym zdobywcą **Gasherbrum I** i **Broad Peak**. Jest przykładem osoby, która trafiła na odpowiedni dla siebie sport.



Apteczka obozowa pod Dhaulagiri w 2008 r. / archiwum prywatne /

Nie mamy niestety wpływu na to jak nasz organizm będzie sobie radził z niskim ciśnieniem tlenu, jak szybko i do jakich warunków jesteśmy się w stanie zaaklimatyzować. Są osoby, które potrzebują więcej czasu na aklimatyzację, za to lepiej znoszą wysokości ekstremalne. Za te zdolności odpowiadają geny, więc planując karierę himalaisty trzeba wybrać sobie odpowiednich rodziców, najlepiej Tybetańczyków lub Szerpów, którzy do dużych wysokości adaptują się od kilkudziesięciu tysięcy lat. Nasze zdolności aklimatyzacyjne musimy sprawdzić w boju, czyli wspinając się na coraz to wyższe góry, pamiętając o regułach aklimatyzacji. Himalaista musi pamiętać, by wysokość zdobywać stopniowo i żeby powyżej 5500 metrów nie być za długo, żeby nie wycieńczyć organizmu.

Gdy śledzimy jakąś wyprawę wysokogórską, czytamy o bazach i obozach. Na czym polega system wchodzenia na szczyt?

- Bazy wyprawowe zlokalizowane są zazwyczaj na wysokościach między 3500 a 5500 metrów n.p.m. W bazie jest kuchnia, sprzęt, namiot osobisty. Baza jest domem wyprawy, zlokalizowana jest przy źródle wody, tam mogą dojść tragarze. Człowiek jest w stanie przerwać dłuższy czas bez uszczerbku na zdrowiu na wysokościach do 5000-5500 metrów n.p.m. Mimo, iż na wysokości 5500 metrów tlenu jest około 50% mniej niż na poziomie morza, to na tym poziomie organizm jest w stanie się zregenerować. Reguły aklimatyzacji - zasady zdobywania wysokości do 5500 metrów są następujące, powyżej 2500 metrów zaleca się by różnica wysokości między kolejnymi noclegami nie była większa niż 500m. Po każdym 1000 metrów musisz zrobić dzień odpoczynku. Z grubsza wysokość kolejnych noclegów powinna być następująca: 2500, 3000, 3500, 3500, 4000, 4500, 4500, 5000, 5500 metrów n.p.m.

A obozy?

- Znajdują się ponad bazą. Kolejne obozy są budowane tam, gdzie jest bezpiecznie. Idziesz cały dzień, dochodzi godzina 16, wtedy rozglądasz się, gdzie można rozbić obóz. Kolejne obozy są rozbijane zazwyczaj co 800-1000 metrów. Baza pod Everestem jest na 5500 metrów, zostają ponad trzy kilometry do szczytu, więc trzeba rozbić 3-4 obozy powyżej bazy. Na popularnych drogach miejsca obozów są już od dawna wyznaczone. Każde wyjście powyżej bazy (> 5500 metrów), to z jednej strony budowanie aklimatyzacji, a z drugiej strony wycieńczanie organizmu. Mniej niż 50% tlenu wyniszcza organizm. Powyżej 8000 metrów, w strefie śmierci, gdzie tlenu jest około 70% mniej niż na poziomie morza człowiek może przetrwać jedynie kilkadziesiąt godzin. Wspinaczkę powyżej bazy trzeba odpowiednio wyważyć.

Wejście na wysoki szczyt to skomplikowana operacja logistyczna.

- Zdecydowanie, musisz wnieść namiot, jedzenie, sprzęt, apteczkę, zestaw tlenowy itd. trochę wszystkiego. Wyższe obozy zdobywamy posługując się zasadą **"najpierw dotknij, potem się prześpij"**. Czyli w praktyce - zakładając obóz pierwszy, wynosisz do góry namiot i jedzenie, zostawiasz to tam, dotykasz obozu, ale na noc schodzisz do bazy i odpoczywasz dzień-dwa. Dopiero w kolejnym wyjściu z bazy śpisz w obozie pierwszym, dotykasz drugiego i schodzisz do bazy. Tak samo postępujesz z kolejnymi obozami. Innymi słowy - nie należy spać w obozie podczas pierwszego dojścia do niego. Inną nazwa tej zasady to "yo-yo" - wchodzenie góra-dół. Takie zdobywanie góry nazywane jest stylem obłędnym, od zdobywania twierdzy. Istnieje również styl alpejski - z bazy jednym ciągiem zdobywasz górę.

No tak, ale Alpy leżą poniżej pięciu tysięcy metrów.

- No właśnie, co jest dobre na góry niższe, na wyższe już niekoniecznie. Niektórzy robią tak, że wchodzą na jeden ośmiotysięcznik, są już zaaklimatyzowani więc podczas tych samych "wakacji" zdobywają kolejny szczyt. Tak zrobił **Andrzej Bargiel**, gdy pobijał rekord czasowy zdobycia **Śnieżnej Pantery** (pięć siedmiotysięczników byłego ZSRR), na **Piku Lenina** się aklimatyzował "góra-dół", a potem kolejne góry zdobywał w stylu alpejskim, czyli jednym ciągiem.

Co czuje się na dużych wysokościach? Mówi się, że doznaje się wyjątkowej euforii, stąd wspinacze wracają w góry, by jej doświadczyć

- Mogę mówić o swoich doświadczeniach, ja nie czułem niczego czego bym nie czuł na nizinach. Wejście na szczyt powoduje ogromną satysfakcję i radość porównywalną z przebiegnięciem maratonu po długim okresie przygotowawczym, czy z przepłynięciem 300 metrów zimną w lodowatej wodzie Zatoki Gdańskiej. Faktem jest, że mózg inaczej pracuje przy mniejszej ilości tlenu, do rzeczywistości podchodzi się mniej krytycznie, a funkcje poznawcze są obniżone. Euforia związana z osiągnięciem celu jakim jest zdobycie szczytu ośmiotysięcznego przeżywana jest pod wpływem hipoksji, która w różnym stopniu zaburza funkcje mózgu. W trakcie uprawiania sportu wydzielają się endorfiny, a przeżyciom ryzykownym towarzyszą silne emocje nazywane potocznie "adrenaliną". To przyjemne doznania, które mogą być powodem wracania w góry wysokie. Potrzeba tych doznań oraz chęć pocucia satysfakcji ze zdobycia szczytu ciągnęły mnie w góry.

Oprócz "euforii" szczytowej, udział w wyprawie narodowej lub bogatej komercyjnej ekspedycji wbrew pozorom podobny jest do wakacji "all inclusive". W bazie jest kucharz, który rano podaje śniadanie, potem drugie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację. Himalaizm, szczególnie zimowy, to nie tylko "sztuka cierpienia" związana z trudnymi warunkami w wyższych obozach. W bazie zazwyczaj jest "all inclusive". Dodatkowo taki wyjazd to odskocznia od pracy, codziennej rutyny, robienie czegoś co się lubi w fajnym gronie. Ten rodzaj euforii związanej z kilkutygodniowymi wakacjami w gronie kolegów, pod przykrywką chęci dokonania bohaterskich czynów, może niektórych ciągnąć w góry.

Baleś się kiedyś na górze?

- Były takie momenty, natomiast nie było permanentnego poczucia strachu. Są chwile, gdy się boisz, przechodząc np. jakąś ścianą lodową na przednich zębach raków. Nogi i ręce się trzęsą, a tam jest jeszcze sporo do przejścia. Drapiesz się na górę i albo to zrobisz albo spadniesz kilkanaście metrów jeśli lina i śruby lodowe wytrzymają. Zawsze jest ryzyko, że możesz zrobić sobie krzywdę. Albo gdy rozkładamy obóz, strasznie wieje, jakoś się zabezpieczasz, jednak istnieje ryzyko, że może kogoś wywiać razem z namiotem - tak zginął **Simone La Terra** na **Dhaulagiri**. Bałem się kiedyś bardzo mocno na wyprawie na **Chan Tengri** w Kirgistanie, gdy przechodziliśmy między lodowcem, a ścianą. Była godzina 11 i słońce zaczęło wytapiać małe kamyczki i one niczym pociski w "Gwiezdnym Wojnach" leciały w moją stronę. Nie możesz po śniegu biec więc idziesz, w myślach odmawiając "Pod twoją obronę...od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać". Dostanie kamieniem w głowę, raczej kończy się bardzo słabo. Są ryzykowne momenty, chwile strachu, stresu, gdy mijają, czujesz ulgę. Ilość przeżyć jest bardzo intensywna. To spaja partnerów wspinaczkowych. Przyjaźnie górskie są na całe życie. Jako himalaista z pewnym stażem, wiem, że wobec potęgi gór jestem bezbronny. Będąc młodym wilkiem miałem poczucie nieśmiertelności. Niby wiedziałem, że ludzie giną w górach, ale nie byli to moi znajomi, wierzyłem, że tragiczny koniec mnie nie dotyczy. Bagatelizowanie niebezpieczeństwa pozwala łatwiej przekraczać granice i podejmować ryzyko. Z wiekiem pojmujesz, że nie jesteś nieśmiertelny, ale to utrudnia przekraczanie granic. Wszystko ma swój czas.

Jak wygląda atak szczytowy? Czy to jest tak w jak w filmach, że każdy krok jest nadludzkim wysiłkiem?

- Zależy od góry i drogi, którą się wybrało. Na pewno tempo wspinaczki w partiach szczytowych ośmiotysięczników jest bardzo wolne. Himalaiści wchodzący na **Everest** bez tlenu zdobywają 80 metrów wysokości przez godzinę - to bardzo wolne tempo. Na **Dhaulagiri** robiłem jeden krok, a potem 30 oddechów. Pierwsi zdobywcy ośmiotysięczników wybierali najprostsze drogi, tak by na ich przebiegu było jak najmniej fragmentów wymagających użycia liny. Trudnością był wybór odpowiedniej drogi, prawidłowa aklimatyzacja organizmu, trafienie w okno pogodowe i przetrwanie powyżej 8000 metrów - w tzw. strefie śmierci. Na łatwiejszych drogach, można zaliczyć potknięcie, które nie musi oznaczać śmiertelnego upadku. Są ośmiotysięczniki, które nie wymaga bardzo wysokich umiejętności wspinaczkowych. Trudnością jest wysokość, aklimatyzacja, odpowiednia logistyka. Gdy wchodziłem na **Dhaulagiri**, mój pierwszy ośmiotysięcznik, przed pierwszym obozem była założona linia poręczowa. Sam atak szczytowy bywał fragmentami trudny, ale pod względem trudności wspinaczkowych nie można tego porównać do wejścia np. północną ścianą **Eigeru**, szczytu który ma "jedynie" niecałe cztery tysiące metrów, ale jest najbardziej znaną górą alpinizmu ekstremalnego. Spośród ośmiotysięczników K2 jest najtrudniejszym szczytem, nie tylko ze względu na wysokość, ale również trudność wejścia, nie ma na tę górę łatwej drogi.

Na koniec chciałem spytać o ciebie - czy dobrze rozumiem, że odpowiedziałeś na pytanie o sens wspinania, wycofując się z chodzenia w Himalaje?

- Wspinanie ma sens. Jego najbardziej niebezpieczne formy polecałbym jednak tym, którzy tak jak w piosence Boba Dylana "Like a Rollin' Stone" - When you ain't got nothing, you got nothing to lose (Nie masz nic, więc nie masz nic do stracenia). W moim przekonaniu ekstremalna forma wspinania, którą uprawiałem nie jest dla ojców czy matek. Jestem szczęśliwy, że w swoim czasie doświadczyłem himalaizmu i cieszę się, że żyje. Bliskie mi są słowa Alka Lwowa "Zwyciężyć znaczy przeżyć". Gdy jechałem zdobywać pierwszy ośmiotysięcznik, było to dla mnie wielkie wydarzenie. Sam udział był nobilitacją. Gdy wszedłem na swój pierwszy ośmiotysięcznik, pomyślałem, że jestem królem świata, super gościem. I tak było, ale głównie w mojej głowie i tylko przez chwilę. Po kolejnym okazało się, że by być w czołówce trzeba wejść na wszystkie 14 ośmiotysięczników bez tlenu. Potem w góry ciągnęła mnie nadzieja, żeby zdobyć zimą jakiś szczyt jako pierwszy, tak było z **Broad Peak** w 2009 i 2011 r., który ostatecznie obronił się wtedy przed nami. Udało nam się z Muhammadem Alim Sadparą dotrzeć na około 7800m, do szczeliny, przy której Maciej Berbeka rozdzielił się z Alkiem Lwowem w 1988 roku. Coraz bardziej czułem, że moje wyjazdy powodują cierpienie rodziny. Na pewno przełomowym i decydującym momentem były narodziny mojej córki Mai. Życie zmusiło mnie bym dojrzał i przestał myśleć o sobie. Nie ukrywam, było to trudne. Dziś wiem, że zejście z gór było dobrym wyborem. Radość, którą czerpię z bycia ojcem, jest inna, nieporównywalna do tego co przeżywałem w Himalajach. Jeśli miałbym teraz wrócić do aktywności górskiej, wybrałbym jak najbardziej bezpieczną jej formę - wejście na Kilimandżaro, trekking w Nepalu, wejście bez ryzyka, czysto turystyczne.

Każdy ma swój Everest - to ktoś znany nawet powiedział.

- Może dla mnie Himalaje nie były aż takim magnesem? Mnie w wysokie góry zaprowadziła chęć przeżycia przygody, taka bardziej hardcorowa wersja autostopu. Nie było tak, że gdy byłem mały, rodzice zabrali mnie w góry i się w nich zakochałem. Widocznie nie jestem uzależniony od gór albo udało mi się wyjść z nałogu. Jako lekarz, nie narzekam na brak wyzwań, moje codzienne życie nie jest sztamkowe i nudne. Mam w miarę ciekawą pracę, latam jako lekarz helikopterem w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym, działam naukowo w medycynie i fizjologii wysokogórskiej, mogę coś odkryć jako pierwszy, spełniam się jako nauczyciel akademicki. Jednak trochę było mi żal, że K2 tak łatwo poddał się zimą Szerpom, którzy mieli szczęście trafiając w idealne okno pogodowe. Ale dzięki temu mam już zupełnie wolną głowę. Już mnie nie kusi.



Akcja ratunkowa na Nanga Parbat w 2010 r. /



Robert Szymczak na szczycie Nanga Parbat w 2010 r. /

Rozmawiał Maciej Słomiński, INTERIA